

Brytyjskie koncentracyjne

obozy

26 maja 2022

Takimi słowami Emily Hobhouse relacjonowała swoją wizytę w brytyjskim obozie koncentracyjnym: „21-letnia kobieta umierała rozciągnięta na noszach. Jej ojciec, wielki i uprzejmy mężczyzna, klęczał przy niej. W tym samym czasie w następnym namiocie jego żona przyglądała się, jak umiera sześciolatek dziecko, a drugie, pięcioletnie, mdlało tuż obok”.

A to, co pozwolono zobaczyć walecznej kobiecie, i tak było starannie wygładzonym obrazem. Przygotowanym specjalnie na jej wizytę, o której władze kolejnych obozów wiedziały z dużym wyprzedzeniem. Tak jak i o tym, że o wszystkim, co kobieta zobaczy, usłyszy opinia publiczna na Wyspach. Dlatego wszystko przygotowywano w taki sposób, by sprawić wrażenie, że warunki zapewniane ludziom przetrzymywanym w obozach są cywilizowane. Jednak wszystkiego nie dało się ukryć. Warunki były katastrofalne, a ludzie masowo tam umierali. Śmiertelność wynosiła 25 proc. W sumie zginęło w nich 10 proc. całej populacji Burów. Tragiczne wydarzenia rozegrały się na przełomie XIX i XX wieku – w czasie trwania drugiej z wojen burskich, jednego z największych konfliktów kolonialnych w historii, który należał też do tych najgłośniejszych. Zainteresowanie wzbudzało przede wszystkim to, że – inaczej niż na ogół – imperium podbijało nie tubylców, którzy zwykle nikogo nie obchodzili, ale potomków białych Europejczyków.

PIENIĄDZE I AMBICJE

Tu nie da się uciec od krótkiej „encyklopedycznej” notki, bo wojny burskie z pewnością nie są czymś, co znamy z polskiej szkoły, a i w brytyjskiej mówią o nich niezbyt chętnie, bo żadna nacja nie lubi przypominać rzeczy, które są powodem do wstydu. Kim zatem byli Burowie i dlaczego ich obecność była

tak bardzo nie w smak Brytyjczykom, że niemal przez cały XIX wiek toczyła się tam zimna wojna, która dwukrotnie eskalowała w duże i krwawe konflikty? Odpowiedź tkwi, jak zwykle w takich wypadkach, w pieniądzach oraz rozbuchanej politycznej ambicji.

Mieszkańcy dwóch burskich republik – Transwalu oraz Oranii – byli farmerami i potomkami Holendrów, Niemców oraz francuskich hugenotów, którzy do południowej Afryki przybywali masowo od połowy XVII wieku i niemal od samego początku popadali w konflikt z Brytyjczykami, którzy mieli ochotę na podporządkowanie sobie tej części świata. Sprawy zaczęły się zaostrzać w wieku XIX, gdy Brytyjczycy zaanektowali tereny, na których żyli Burowie, i mówiący swoją wersją niderlandzkiego osadnicy postanowili uciec spod ich władzy. Ich niezadowolenie budziło przede wszystkim zniesienie niewolnictwa. Podjęli wtedy tzw. wielki trek – wyruszyli na podbój terenów położonych na północ od ich osad. Wszystko zaczęło się w 1834 r. W ciągu kolejnych 20 lat voortrekerzy pobili Zulusów i Matalebow, a na zdobytych terenach stworzyli pierwsze państwo.

Korona Brytyjska uznała jego obywateli za swoich podwładnych i szybko podporządkowała sobie nowo powstałą Republikę Natalii. Jednak kolonialna polityka się zmieniała i Burowie wybili się na niezależność. Na krótko, bo ten rejon świata okazał się niezwykle bogaty w cenne surowce naturalne. W 1867 r. w rejonie Kimberley, miasta dziś należącego do RPA, odnaleziono złoża diamentów. Brytyjczycy jeszcze wtedy zabezpieczyli je dla siebie bez rozlewu krwi, ale metoda, jaką wykorzystali – zaangażowali i zmanipulowali wodza lokalnego plemienia – oburzyła mieszkańców Wolnego Państwa Pomarańczowego i zapowiadał się konflikt. Anglicy nie zaprzestali też prób podporządkowania sobie terytoriów zajmowanych przez Burów, co doprowadziło do wybuchu powstania, nazwanego I wojną burską. Wygrali ją Transwalczycy i zapewnili sobie niepodległość. Niepodległość, ale nie spokój. Wkrótce, w 1886 r., w Transwalu odkryto... złoto. Bogate złoża dawały młodej republice perspektywę szybkiego osiągnięcia statusu najbogatszego i

najsilniejszego państwa w całej południowej części Afryki. To z jednej strony zagrażało kolonialnym ambicjom wyspiarzy, z drugiej stanowiło dla nich łakomy kąsek. Początkowo wybrali opcję polityczną. „Gorączka złota” ściągała tam tysiące imigrantów z Europy, dominowali wśród nich Brytyjczycy. Miejscowi nazywali ich uitlanderami (obcokrajowcami). Wkrótce było ich tam więcej niż samych Burów, a angielska administracja kolonialna postanowiła ich wykorzystać. Wsparto plany powstania domagających się praw przybyszów, które jednak wybuchło na niewielką skalę i się nie powiodło. Kiedy takie rozwiązanie zawiodło, postanowiono sięgnąć po wojskowe. Brytania w 1899 r. skoncentrowała siły na granicach republik burskich, a te zdecydowały się na uderzenie wyprzedzające. Tak doszło do wybuchu II wojny burskiej.

WOJNA TOTALNA

Początkowo Burowie mieli przewagę – liczebną i wynikającą ze znajomości terenu. Mieli też jednak archaicznie myślących i zadufanych w sobie dowódców wojskowych, którzy zmarnowali szansę na szybkie zwycięstwo. Zamiast atakować – budowali umocnienia. A każdy kolejny miesiąc walk pozwalał Brytyjczykom na ściąganie posiłków – nie tylko z Wysp, ale też z Australii i Kanady. Wyrównane, przynajmniej w pierwszej fazie działań wojennych, siły powodowały też, że była to wojna pochłaniająca ofiary z obu stron. – Zostawiliśmy konie, tak by same mogły znaleźć sobie paszę. Potem pospieszyliśmy pod górę, mijając zabitych, a wreszcie dotarliśmy do wczorajszej krwawej linii. Stamtąd poszliśmy w stronę opuszczonych brytyjskich okopów. Po naszej stronie linii walki leżało wielu zabitych, ale to, co zobaczyliśmy po stronie angielskiej, było dużo straszniejsze. W płytkich okopach, tam, gdzie walczyli, leżały stosy zabitych, miejscami na trzy trupy wysokie. Artyleria burska sprawiła straszną masakrę. Niektóre z ciał były zupełnie poszarpane. Musiało tam, na tym niewielkim skrawku ziemi, leżeć ze sześć setek zabitych. Chyba nie było dotąd pola bitwy, gdzie widziałoby się takie nagromadzenie koszmaru na

tak niewielkim terenie – opowiadał Deneys Reitz o bitwie pod Spion Kop, która była tylko jedną z wielu, ale stała się symbolem wojennego koszmaru. Im dłużej trwały „tradycyjne” starcia, tym szanse na zwycięstwo Burów były mniejsze. Oni mogli liczyć tylko na siebie, a kolonialne siły brytyjskie miały za sobą całe Imperium. W szczytowym okresie w południowej Afryce przebywało prawie pół miliona żołnierzy walczących pod sztandarem najpierw królowej Wiktorii, a później Edwarda VII. Seria porażek, która na początku 1901 r. spotkała potomków holenderskich ochotników, doprowadziła też do zmiany charakteru wojny. Burowie wykorzystali wreszcie swój największy atut – znajomość terenu. Zmienili się w partyzantów, którzy choć stosunkowo nieliczni – walczyło ich wtedy jeszcze jakieś 15 tys. – zadawali poważne straty przeciwnikowi i, co nawet ważniejsze, jego gospodarce. „Nowy system walki, polegający na dużej ruchliwości i samodzielności oddziałów burskich, czynił Brytyjczyków bezradnymi. Z tej bezradności wyłonił się brutalny plan zdławienia oporu Burów” – pisał Michał Leśniewski w jednej z książek poświęconych konfliktom kolonialnym.

OBOZY, W KTÓRYCH UMIERANO

Tą metodą była wojna totalna, wzorowana na tym, co w podobnej sytuacji w czasie wojny secesyjnej zrobił William Sherman, oraz obozy koncentracyjne, w których umieszczano rodziny walczących w partyzantce. I nie tylko ich zresztą, bo z czasem stały się one miejscem kaźni Burów (nie wyłączając kobiet i dzieci) oraz czarnych mieszkańców Afryki, których umieszczono w oddzielnych obozach – mających im dać szansę na przetrwanie, a zamiast tego oferujących ponad 20-proc. śmiertelność. Brytyjczycy stosowali taktykę spalonej ziemi – niszcząc wszystko, co mogło dać oparcie partyzantom i w ten sposób próbując skłonić ich do poddania się.

„Przemieszczamy się z doliny do doliny, zabierając bydło i owce, paląc i szabrując, i zmuszając kobiety i dzieci do płaczu i rozpacz w cieniu tego, co kiedy było ich domami” –

pisał w liście do Davida Lloyd-George'a, późniejszego premiera, jeden z oficerów. Adresat odczytał ten list w parlamencie. To była jednak perspektywa sprawcy. Burowie widzieli to tak, jak Jan Smuts, który dowodził partyzantką: „Lord Kitchener prowadzi w obu republikach politykę niewyobrażalnego barbarzyństwa i okrucieństwa, która narusza najbardziej elementarne reguły prowadzenia wojny. Niemal wszystkie farmy i wioski w obu republikach zostały spalone i zniszczone. Tak samo wszystkie plony, a zwierzęta hodowlane trafiły w ręce wroga, który je zaszlachtował. (...) Takie naruszenie wszystkich międzynarodowych praw jest bardzo charakterystyczne dla narodów, które zawsze odgrywają rolę wybranego sędziego ponad zwyczajami i zachowaniami innych narodów”.

Taktyka spalonej ziemi nie ograniczała się tylko do domów. Jej celem było wszystko, co mogło pomóc partyzantom. Nie wyłączając ludzi: kobiet, dzieci i starców, którzy zostawali na farmach porzuconych przez idących na wojnę mężczyzn. Po każdej z fal – tak nazywano rajdy i podpalenia – „wymiatania” pozostawały setki lub tysiące takich osób. Nie zostawiano ich na wolności. „Internowano” ich w specjalnie do tego stworzonym systemie obozów koncentracyjnych, do których w ciągu dwóch lat trafiło dobrze ponad 100 tys. ludzi. Wojsko kolonialne w czasie trwania tej wojny nie było w stanie zapewnić odpowiednich warunków nawet sobie – z niemal 30 tys. żołnierzy brytyjskich, którzy stracili życie w jej trakcie, tylko połowa zginęła od kul wroga, resztę zabiły choroby. Nic zatem dziwnego, że nie potrafiono lub nie chciano zrobić tego także dla więźniów i warunki w obozach były dramatyczne.

„W niektórych obozach dwa, a nawet trzy zestawy ludzi mieszkają w tym samym namiocie. Po 10, 12 osób jest naraz stłoczonych w niewielkim namiocie” – donosiła Hobhouse. Ciasnota, głód i fatalne warunki sanitarne przyspieszały rozprzestrzenianie się chorób. To właśnie one zabijały najwięcej ludzi. Dyzenteria, tyfus i odra zbierały śmiertelne

żniwo. O skali tego, co się działo, najlepsze wyobrażenie dają liczby. Do obozów trafiło niemal 100 tys. Burów. W ciągu niewiele ponad roku zmarło w nich ok. 28 tys. z nich. W tym ponad 4 tys. kobiet i – jeżeli wierzyć oficjalnym statystykom Korony – 22,074 dzieci. Oprócz tego zmarła także bliżej nieokreślona liczba czarnych Afrykanów, którzy także zostali „internowani” w obozach założonych po to, by zapewnić im szansę przeżycia w kraju, w którym nie było co jeść. Nie traktowano ich wprawdzie jako wrogów, ale... warunki mieli jeszcze gorsze niż Burowie. Nie wiadomo, jaka była śmiertelność w „czarnych” obozach, ponieważ nie uznano za konieczne liczyć zamykanych. Szacunki historyków mówią o ponad 100 tys. „internowanych” i liczbie ofiar przekraczającej 20 tys.

NIE PIERWSZE I NIE OSTATNIE

Gdyby nie interwencja filantropów – z Emily Hobhouse na czele – te liczby prawdopodobnie byłyby jeszcze większe, a gdyby nie koniec wojny (ta zakończyła się w 1902 r. podporządkowaniem republik burskich Koronie brytyjskiej), zagrożone byłoby istnienie całego narodu, który w ciągu półtora roku tylko w obozach stracił 10 proc. populacji, a kolejne 10 proc. w działaniach wojennych. Wielu weteranów tej wojny znalazło też później zatrudnienie w położonej na północ od dzisiejszego RPA Namibii, gdzie własne obozy koncentracyjne założyły kajzerowskie Niemcy. Doszło w nich do niemal całkowitej planowej zagłady dwóch afrykańskich narodów – ludów Hererów i Nama. Liczbę ofiar szacowano tam na ponad 100 tys.

Wojny burskie to jedna z tych kart brytyjskiej historii, która przynosi dumnej nacji najwięcej wstydu. Tym bardziej że mimo świadomości, do czego mogą prowadzić takie metody, wykorzystano je raz jeszcze – w wojnie w Kenii, gdzie w połowie XX wieku próbowano stłumić dążenie do niepodległości. (A – to ciekawostka – w jednym z obozów przetrzymywano dziadka dzisiejszego prezydenta USA Baracka Obamy). Takich kart jest jednak więcej – wymienić można choćby wielki głód, który zabił

3 mln mieszkańców Bengalu i do złudzenia przypomina to, co Rosja Radziecka zrobiła na Ukrainie. To już jednak opowieść na inną okazję.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: eLondyn.co.uk